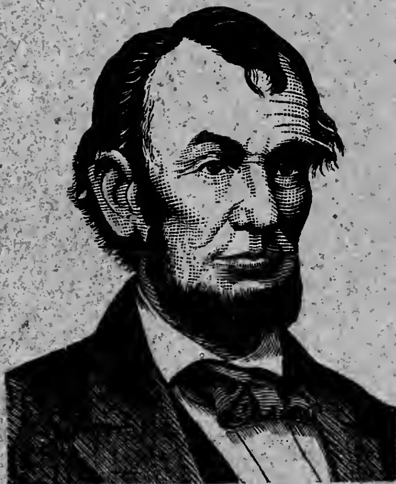
Ida M. Tarbell:

Abraham Lincoln

SZKIC.



CHICAGO, ILL.
Nakładem i drukiem W. Dyniewicza,
1909.

Ida M. Tarbell.

Abraham Lincoln

SZKIC.



CHICAGO, ILL.
Nakładem i drukiem W. Dyniewicza,
1909.

Czy znałem Lincolna? A jakże... Widzisz pan to krzesło? Weź je, usiądź. Tak, dobrze. Wygodnie, nieprawda? Otóż, drogi panie, Abraham Lincoln siadywał na tem krześle godzinami, on i mały "Dong" i Logan i sędzia Davis, wszyscy oni, wszyscy wielcy ludzie w tym Stanie siadywali na tem krześle. Widzisz pan te znaki? To od noża. To sędzia Logan narobił tego; on tak lubił strugać. Ciągle musiał krajać swoim nożykiem. Właśnie kupiłem to nowe krzesło, zapłaciłem sześć dolarów, i niech mię powieszą, jeżeli, wszedłszy do sklepu, nie spostrzegłem od razu sędziego z nożykiem w ręku, jak w najlepsze strugał sobie tę poręcz. Podniosłem jedną drzazgę i mówię: Hę, sędzio, przypuśćmy, że to pan zrobił.... Sędzia spojrzał na mnie, porwał się z miejsca i wyleciał z apteki jak oparzony. Pan Lincoln był tu także i trzeba było słyszeć, jak się zanosił od śmiechu. On zawsze siedział tu z nami. Przychodził, siadał koło pieca i godzinami opowiadał swoje dykteryjki, rozmawiał i dysputował. Wolałbym słyszeć ich dysputy tu koło tego starego pieca, niż Webstera, Clay'a, Calhouna i cały senat Stanów Zjednoczonych. Nie

było jeszcze takiego senatu, któryby mógł iść w porównanie z tem, co ja tu słyszałem, w tej izbie, gdy Lincoln siedział na tem samem krześle, na którym pan siedzisz w tej chwili: On tu kupował. Mam wszystkie jego rachunki. Ot patrz pan — "chinina, chinina, chinina." Najlepszy patron na chininę, jakiego widziałem.

Radził ją zawsze swoim klientom. O, pan Lincoln umiał być popularnym. Bardzo sprytny polityk.. Ja nie byłem "wigiem". Byłem wtedy i dziś jestem demokratą, prawdziwym demokratą starej daty, ze szkoły Jacksona i krew mi się nieraz burzyła, słuchając co on mówił. Niebezpieczny był przeciwnik z niego; nie dobrze było mieć go przeciw sobie. Kazał ci myśleć tak, kiedyś wiedział bardzo dobrze, że było inaczej. A jaki chytry! Ot, wszedł sobie gdy go się najmniej spodziewano, zrobił coś nieoczekiwanego, rozśmieszył cię i już miał twój głos w kieszeni. Musiało się głosować za nim, bo się go lubiło, i właśnie dlatego, że był taki sprytny i nawet gdy się wiedziało, że nie miał racyi i że to było przeciw interesom kraju. Czy lubił nowinki? Jeszcze jak! Cieszył się jak dziecko, uderzał się rękami po kolanach, podskakiwał, kręcił się w kółko, potem siadał i śmiał się do rozpuku. Nie było pod słońcem człowieka bardziej chciwego na nowiny. "Słyszałeś co nowego, Billy?" I jeżeli co słyszałem, musiałem mu opowiadać,

a on śmiał się i śmiał bez końca. Często bardzo gdy opowiedziałem mu coś nowego, a on później zapomniał, jak tam było, wpadał do mnie i mówił: Billy, jakże to było to, coś mi ostatni raz opowiadał?! I musiałem opowiadać mu znów wszystko od początku.

Często nie było go w mieście. Jeździł, jak pan wiesz, po kraju ze sądem okręgowym. Było ich tam kilku wesołych prawników. Wieczorami nie mieli co robić, więc siedzieli w gospodzie dokoła pieca i opowiadali sobie różne historye. Źle się działo, gdy nie było Lincolna. Stary sędzia Davis komenderował całą paczką i nigdy nie usiadł na swem miejscu, aż przyszedł Lincoln. Słyszałem ich nieraz, jak żartowali z sędziego, który kręcił się po izbie i wciąż pytał: gdzie pan Lincoln, dlaczego pan Lincoln nie przyszedł?.... Niech kto wstanie i pójdzie po pana Lincolna.... A gdy nareszcie Lincoln przyszedł, sędzia siadał, kazał mu opowiadać i tak siedzieli długo za północ.

Gdy wracał do miasta, pierwszą rzeczą przychodził tu i opowiadał wszystko, co słyszał w podróży. Cała paczka schodziła się wtedy do mnie i gawędzili o podróży i, powiadam panu, warto było słyszeć, jak się śmiali.

Razu jednego nawet sam sędzia Davis nie wytrzymał. Było to w sądzie, podczas sesyi; szła jakaś sprawa i raptem wszyscy zaczęli pryskać ze śmiechu. Sędzia poznał odrazu, że to

pan Lincoln musiał coś zmalować.

Ja nie pozwolę dłużej na to, panie Lincoln, mówi sędzia ze swego stołka; pan ustawicznie zakłócasz spokój swoimi wybrykami. Ja muszę ukarać pana. Klerk niech zapisze na pana Lincolna pięć dolarów kary za nieprzyzwoite zachowanie się w sądzie.

Chłopcy mówili, że pan Lincoln nie odezwał się na to ani jednem słowem; siedział na ławie ze spuszczoną głową i zatykał sobie usta pięścią, aby się nie śmiać. Przeszło tak parę minut i sędzia, który sam siedział jak na szpilkach, tak go korciło dowiedzieć się, co to był za dowcip, woła Weldona i szepce mu do ucha: Co to było takiego, co powiedział Lincoln? Weldon powiedział mu na ucho i niech zginę, jeżeli sędzia nie parsknął z miejsca, na całą iz-
ale też wiedział, po co je opowiadał. Powiadam
bę. Ale się wnet powciągnął i mówi z powagą: Klerk niech tam skreśli karę pana Lincolna.

Tak, mój panie; on umiał opowiadać bajki, panu, on więcej wydobywał argumentów ze swych bajek, niż ze wszystkich kodeksów i ksiąg prawniczych. I nie było żadnej rady na to; nie można było znaleźć żadnej odpowiedzi; trzeba było widzieć wszystko tak, jak on chciał, bez żadnych wykrętów.

Ja jestem demokratą, lecz niech mnie powieszą, jeżeli nie głosowałem na niego; nie mogłem inaczej, a wszystko przez te węże, do

których on raz porównał wpuszczenie niewolnictwa do Kansas i do Nebraski. Słyszałeś pan o nich? Nie. To opowiem panu.

Gdy zobaczę jadowitego węża pełznącego drogą, zabiję go pierwszą rzeczą, która mi się nawinie pod rękę; ale jeżeli go znajdę w jednem łóżku z moimi dziećmi, będę koło niego na palcach, aby nie pokąsał dzieci. Jeżeli znajdę go w łóżku z dziećmi innego człowieka, zawołam ojca i niech on robi co potrzeba. Ale jeżeli zobaczę że ktoś pakuje cały kłębek żmij do łóżka, w którem będą spać moje czy cudze dzieci, nie pozwolę na to, chociażbym miał się bić. Otóż to, co oni chcieli zrobić. Pakowali żmije do pustych łóżek, w których mieli spać ludzie.

Zanim usłyszałem tę przypowieść, słyszałem często, ze sto razy, jak pan Lincoln mówił, siedząc tu na tem krześle. Chłopcy, mówił, my musimy dać w łeb niewolnictwu, bo inaczej to paskudztwo, rozlezie się po całym kraju. Ale wtedy, jakoś tego nie widziałem, że on ma swoją racyę i że muszę na niego głosować. A, powiadam panu, ciężko mi było zdradzić małego Donga. Bo to, widzisz pan, on był zawsze naszym wielkim człowiekiem; takeśmy wtedy myśleli. On był w senacie i znał się z wszystkiemi grubemi rybami w całym kraju. On też i chodził wielki człowiek i mówił jak wielki człowiek. Prawda, wiedzieliśmy wszyscy, że

nie był on uczciwym człowiekiem, tak uczciwym jak pan Lincoln; ale, wstyd się przyznać tóć już wtedy myślałem, że pan Lincoln był za gorąco uczciwym, tak jakoś niemądrze uczciwym.

On nie mógł jakoś znieść, aby mówiono o rzeczach nie tak, jak były naprawdę. Po prostu robiło mu się niedobrze, gdy słyszał jak ktoś kłamie. Pamiętam, byłem raz w sądzie w Decatur, gdzie pan Lincoln bronił jakiejś sprawy. Ze strony przeciwnej stawał jakiś jegomość, który nie miał żadnych skrupułów względem kłamania w sądzie; ten pan opowiadał, że Lincoln powiedział to i owo, ot zawracał głowę przysięgłym. A na dworze padał śnieg i pan Lincoln przemoczył nogi i suszył je przy piecu. Zdjął właśnie jeden trzewik i siedział pod piecem, trzymając przed ogniem swoją olbrzymią stopę i ze zmarszczonem czołem słuchał tych kłamstw swego przeciwnika. Raptem zrywa się i, kulejąc, wybiega na środek izby sądowej.

— Hola, panie sędzio — woła — to nie jest żadna sprawiedliwość. Ja nie mówiłem nic podobnego i on wie dobrze, że nie mówiłem. Ja nie pozwolę, aby tak ogłupiano sędziów przysięgłych.

W żadnym sądzie nie widziano nigdy nic równie zabawnego, jak widok tego olbrzyma w jednym trzewiku, z drugim trzewikiem w ręku, mówiącego tak poważnie. Nie, panie, on

nie mógł znieść kłamstwa.

Czy myślałem wówczas, że był on wielkim człowiekiem? Ale gdzie tam! Ani się nam śniło. Otóż, jak powiedziałem, dla nas wszystkich Douglas był naszym wielkim człowiekiem. Czy uwierzysz pan, że było mi trochę przykro za Linlncolna, gdy zaczęto mówić o nim, jako o kandydacie na prezydenta. Wyglądało prawie tak, jak gdyby kto stroił sobie żarty z niego. Toć on wcale nawet nie wyglądał na prezydenta. Co prawda nie widziałem nigdy prezydenta lecz mieliśmy tu portrety wszystkich, zaczynając od Washingtona i wszyscy oni wyglądali tak, jak gdyby byli z innego drzewa, niż my. Przynajmniej tak mnie się zawsze zdawało. Otóż pan Lincoln wyglądał zupełnie jak nasi ludzie; tak łatwo było z nim mówić. Jakoś robiło się odrazu człowiekowi wygodnie z chwilą, gdy on wchodził. Proszę sobie wyobrazić Jerzego Washingtona, albo Tomasza Jeffersona tu na tem krześle, gdzie pan siedzisz, śmiejącego się na całe gardło z jakiejś głupiej mojej gadaniny. Nikt tu z nas w miasteczku nie robił sobie wiele z jego kandydatury, to jest nikt z mężczyzn, bo z kobietami było całkiem przeciwnie. Te zawsze wierzyły w niego i zawsze mówiły: pamiętaj, stary, pan Lincoln będzie prezydentem. On stworzony na to, bo on jest dobry; lepszego człowieka nie było jeszcze na świecie i on musi być prezydentem. Co do

mnie, to nie widziałem w tem żadnej logiki, ale nie wiem, być może i była jaka.

Teraz to wszystko wygląda inaczej. Sądzę, że się czegoś nauczyłem, patrząc jak on był prezydentem; o, nauczyłem się wiele, chociaż w nim samym nie było żadnej zmiany. Najzabawniejszą rzeczą było widzieć go, jak chodził sobie po miasteczku taki samiutki jak zawsze, a tu całe Stany Zjednoczone pilnowały każdego jego kroku i najwięksi ludzie z całego kraju biegali za nim i reporterzy wieszali się po wszystkich kątach, aby złowić jakie słówko i różni panowie malowali jego portrety na olejno i na wszystkie inne sposoby. A jemu było to wszystko jedno i skarżył się tylko, że za mało ma czasu i nie może przychodzić tu tak często jak dawniej.

Miał swój pokój tam na rogu, nad sądem. Ile razy spojrzałem w tę stronę, zawsze było tam pełno ludzi, którzy chcieli się dostać do niego. Pełno było wówczas ludzi w tej starej dziurze — delegacye i komitety, i politycy i gazeciarze. Jedyny raz co widziałem Horacego Greeley'go, było to, gdy przyszedł tu po chininę. Pan Lincoln przysłał go do mnie. Pomyśl pan tylko sobie, Horace Greeley kupował chininę u mnie. Nie było końca tym wielkim ludziom dokoła. On ze wszystkimi miał coś do mówienia. Czasami chodziłem tam, aby popatrzeć na niego z daleka. Nie robiło mu to ża-

dnej trudności. Podawał im rękę i rozmawiał tak poprostu, jak gdybym to był ja. I nie był wcale dumny. Niejeden z tych panów, co przyjeżdżali do niego, wyglądał tak ,jak gdyby, to on miał być prezydentem. A pan Lincoln nie pysznił się wcale. I nie opuścił ani jednego z swoich starych przyjaciół. Cieszył się jak dziecko, gdy który z nich przyszedł; i przychodzili wszyscy, każdy chłop, każda baba z powiatu Sangamon, wszyscy przyjeżdżali tu, aby się z nim pożegnać. Wszyscy oni znali go, gdy miał sklepik tam w New Salem i gdy później jeździł z łańcuchem i wymierzał im grunta i później, gdy kandydował z tego powiatu do legislatury.... Każdy przyjechał ze swym wózkiem, aby mu życzyć szczęścia na drogę.

Byłem tam pewnego razu, gdy stara ciotka Sally Lowdy przyjechała i stanęła pod drzwiami. Ciotka Sally mieszkała koło New Salem i jestem pewny, że nieraz reperowała spodnie panu Lincolnowi — wszystkie te kobiety na wsi przepadały za nim i opiekowały się nim zawsze, jak własnym synem.

Otóż ciotka Sally stoi i patrzy, trochę wystraszona, widząc tylu obcych panów i nie wie dobrze co z sobą zrobić. Ale pan Lincoln już dostrzegł ją z daleka, i mówi do całego towarzystwa: przepraszam na chwilę i leci i chwyta za ręce starowinę obiema rękami i mówi: "witam, ciotko Sally, jak to naprawdę dobrze,

żeście przyjechali; jak się macie i jak się ma Jane? (Jane, to był jej chłopak). Chodźcie tu ze mną na górę.'' I poprowadził ją na górę, jak gdyby to była pierwsza lady w całem Illinois i mówi: panowie oto moja dobra stara przyjaciółka, piecze najlepsze oładki, jakieście kiedy jedli; ile to razy piekła je dla mnie. A ciotka Sally siedzi w fotelu czerwona jak róża, tak to jej było przyjemnie. I mówi do niego: — Abe — wszyscy starsi ludzie w Sangamon nazywali go Abe. Znali go od małego chłopca; ale nie sądź pan, aby go kto tu tak nazywał. Nie, mój panie; my mówiliśmy zawsze — panie Lincoln. Był on dla nas jak jeden z nas, ale nie był to człowiek, z którymby się mogło być bardzo poufałym. — Abe, mówi ciotka Sally, musiałam przyjść i pożegnać się z tobą. Mówią tam u nas, że oni zabiją ciebie, gdy dostaną do samego Washingtonu; ale ja w to nie wierzę. Ja mówię im na to, żeś ty za sprytny, abyś się dał podejść. I pomyślałam sobie, pójdę go zobaczyć i zaniosę mu prezent własnej roboty.. I niech trupem padnę, jeżeli staruszka nie wyciągnęła z worka pary grubych wełnianych skarpetek i nie podała ich uroczyście panu Lincolnowi.

Tak panie, to było zabawne widzieć, jak mu się twarz rozjaśniała i oczy zaczęły mrugać jedno za drugiem. Wziął te skarpteki za palce, po jednej w każdą rękę i podniósł do góry. By-

ły to najdłuższe skarpetki, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Ta pani nie pomyliła się, co do mojej długości i szerokości, nieprawdaż panowie?

Złożył je ostrożnie i wziął za ręce ciotkę Sally i mówi do niej tak czule, jakby syn do matki:

— Ciotko Sally, nie mogliście zrobić mi większej przyjemności. Zabiorę je ze sobą do Washingtonu i będę je nosił i będę myśleć o was.

I powiadam panu, zaledwie to powiedział, już czułem — że mnie coś ściska za gardło i nie ja jeden to czułem i założę się z panem, że on je nosił w Washingtonie. Widzę go, jak ściąga z nogi trzewik i pokazuje te skarpetki Sumnerowi, albo Sewardowi, albo innej jakiej grubej rybie. która mu w tej chwili dokuczała i opowiada im o ciotce Sally i o jej oładkach.

Czy rzeczywiście dużo mówiono o tem, że go zabiją? Otóż, drogi panie, strach, ile jest głupców na tym świecie i gdy się im nie da tego, czego chcą, to zaraz chcą kogoś zabijać. Pan Lincoln sam nie mówił nigdy o tem, ale my wiemy, że jego poczta była często bardzo ciekawa. Nasyłano mu w listach szubienice i pistolety i różne inne rzeczy i tysiące pogróżek. Tak przynajmniej mówili ludzie; ale ja nie myślę, żeby mu to bardzo dokuczało. Gorzej o wiele

dręczyło go, że stary Buchanan w jego oczach zaczynał psuć całą robotę.

— Chciałbym się tam dostać, zanim mi konia ukradną.

Słyszałem jak powiedział to raz tutaj do kilku ludzi:

— Ale sądzę, że odnajdę go po śladach gdy się raz tam dostanę.

Najwięcej dręczyła go myśl o jego przyszłym gabinecie. Tak mnie się przynajmniej zawsze zdawało. Nie znał dość dobrze ludzi, których miał tam wziąć sobie do pomocy. Siedzieli tu raz pewnego wieczora przy tym piecu on, i sędzia Gillespie i paru innych i rozmawiali o tem.

— Sędzio — powiada — jakby to było dobrze gdybym mógł zabrać was wszystkich chłopców ze sobą do Washingtonu, demokratów czy nie demokratów i zrobić z was mój gabinet. Wiedziałbym wtedy, gdzie każdy pasuje i moglibyśmy odrazu zabrać się do roboty. A teraz muszę wprzód poznać swych ludzi, zanim będę mógł co zrobić.

Jakto panie Lincoln, odzywa się sędzia, nieco zgorszony, czy wziąłbyś i takiego demokratę, jak naprzykład Logan? Tak, mówi, wziąłbym i Logana, bo ja znam Logana. On dziś przeciw mnie, i to w porządku; lecz gdy będzie źle, można liczyć na Logana, że będzie za ojczyzną, a mnie właśnie takich ludzi potrze-

ba, ludzi, którzy nie zdradzą ojczyzny. Tu nie idzie ani o Lincolna, ani o demokratów, ani o republikanów, tu idzie o ojczyznę.

Naturalnie, że był on zawsze wesoły. Nie był to taki człowiek, aby zaraz pokazywać, co czuje. Wielu z tych małych jegomościów, co przyjeżdżali tu, aby z nim mówić, powiadało później, nadymając się jak sowy:

— On nie zdaje sobie sprawy z krytyczności położenia. — Własne ich słowa — "z krytyczności położenia". Wyobraź pan sobie pana Lincolna, nie zdającym sobie sprawy z położeniu. Trzeba go było słyszeć, gdy mówił do nas, tej nocy, kiedy odjeżdżał. Ja nigdy nie zapomnę tej mowy, ani żaden z nas, co ją słyszał. Widzę go, widzę jak stoi tu, na platformie wagonu. Na dworcu ściskał ręce wszystkich, śmiejąc się i żartując, jak zwykle, lecz gdy wszedł do tego wagonu, zdawało mi się, że się zmienił odrazu. Nie widziałeś pan nigdy twarzy tak smutnej, nigdy na całym świecie; powiadam panu, on miał ból w sercu w tej chwili, ból.... On wiedział, że opuszcza nas raz na zawsze; nic innego nie wytłómaczy mi tej twarzy i tej mowy. On wiedział, że gdyśmy ujrzeli go tam na platformie z gołą głową, te wielkie jego oczy, patrzące na nas z taką miłością i takim smutkiem, każdy z nas zdjął kapelusz, jakby w kościele.

Nie słyszałeś pan nigdy jego mówiącego, naturalnie. Straciłeś pan wiele. Ciekawy głos. Słychać go było daleko; niby ostry, ale szedł prosto do serca A tej nocy brzmiał on smutniej, niż kiedykolwiek. Wiesz pan, słyszę go ciągle do dzisiejszego dnia, nocami, gdy wiatr wyje dokoła domu. Moja stara powiada, że ją to denerwuje, gdy mówię o nim takiej nocy, lecz trudno, muszę się wymówić, nie mogę dać sobie rady.

Stał z minutę, patrząc na nas i zaczął mówić. Niema w tem mieście człowieka co go słyszał, któryby nie pamiętał każdego słowa; ale sądzę, że żadenby głośno nie powtórzył tej mowy. Nie mógłby, musiałby się rozpłakać. Mówił do nas prosto, ze serca. Jakoś poznaliśmy wszyscy odrazu, jakeśmy go kochali i jak on nas kochał. Nie braliśmy nigdy na seryo całego tego gadania, że go zabiją; lecz gdy powiedział, że odchodzi od nas, nie wiedząc, czy i kiedy powróci, zrobiło mi się zimno. Zacząłem widzieć w tej chwili i każdy to samo. Kobiety zaczęły płakać na głos i jakiś jęk powstał nad tłumem, i gdy prosił nas modlić się za niego, wierzę, że nie było w tym tłumie człowieka, wszystko jedno, czy kto chodził do kościoła, czy nie, coby nie uczuł potrzeby paść plackiem na ziemię i wołać do Pana, aby strzegł Abrahama Lincolna i odprowadził go do nas, do których należał.

Czy widziałem go kiedy później? Tak, raz jeden, w Washingtonie, latem w 1864 r. Sprawy licho wyglądały tego lata. Zdawało się, że nie było nikogo, ktoby wierzył, że go wybiorą drugi raz. Greeley szarpał się na niego w "Tribunie", że nie zawiera pokoju, a pan wiesz, że dobra połowa północy zawsze pozostawiała Greleey'emu fatygę myślenia za wszystkich. Wojna nie posuwała się naprzód wcale; wyglądało tak, że nigdy nic z tego nie będzie. Grant sterczał pod Petersburgiem, jak pies pod płotem; pożytku z tego nie było. Tak samo było i z Shermanem, który tłukł się pod Atlantą. Kraj był już wyczerpany tymi podatkami i bez końca i bitwami i rozlewem krwi. Natura ludzka nie mogła już dłużej wytrzymać tego wszystkiego i ludzie wypluwali całą swą złość na pana Lincolna, a on akurat w tej chwili, gdy najwięcej szemrano i wymyślano, zaciął się i nakazał nowy pobór rekruta. Naturalnie, on miał racyę, lecz powiadam panu, trzeba było wielkiej odwagi, aby zrobić taką rzecz w takiej chwili; on ją zrobił. Ciężko nam tu było bardzo, powiadam panu, nie wiele było domów w tym kraju, w którychby nie gościła żałoba. Zdawało się, że nie będziemy mogli wytrzymać nowego upustu krwi. Kilku chłopców z tego stanu zebrało się na odwagę i pojechało do Washingtonu pomówić z nim w tej sprawie. No i wrócili jacyś nie swoi, zawstydzeni. Joe Med-

ill, ten z Chicago, wygadał się raz przedemną, jak tam było. Powiedzieliśmy wprost panu Lincolnowi, mówił Joe, że nie wytrzymamy nowego poboru. Dość już mamy tego pchania ludzi pod Petersburg, aby ich tam zabijano na szańcach. On nie odpowiedział na to nic; stał, milcząc i patrzał w ziemię, dopókiśmy się wszyscy nie wygadali. A potem podniósł głowę i spojrzał na nas dokoła, tak jakoś powoli; i powiadam ci Billy, nie przypuszczałem nigdy, że Abraham Lincoln mógł się tak wściec nawskroś. Był biały, taki był wściekły.

"Chłopcy, powiada, jak wam nie wstyd samych siebie; postępujecie jak stado tchórzów. Samiście trąbili z innymi na tę wojnę i teraz musicie doprowadzić ją do końca. Wracajcie do domu i dajcie mi ludzi i nie ważcie się drugi raz nachodzić mnie tutaj i jęcząc tu na to, co ja każę robić. Ja tego nie zniosę, ja na to nie pozwolę." Takeśmy się przelękli, że nikt nie powiedział ani słowa. Zabraliśmy kapelusze i wynieśliśmy się jak żaki.

Mówią, że Abraham Lincoln był łatwy. Jak nie było o co, to być może był i łatwy, ale jak było o co, prędzejbyś górę zruszył z miejsca, niż jego.

Otóż nasłuchałem się dość o kłopotach jego, z każdym i ze wszystkimi i w końcu powiedziałem sobie, że czas już wielki przejechać się tam samemu i odwiedzić go i opowiedzieć kilka

nowych historyi i powiedzieć mu, jak my tu wszyscy oczekujemy go z powrotem. Sądziłem, że być może go to rozweseli, gdy się dowie, jak my tu wszyscy w domu tęsknimy za nim i czekamy na niego. Skoro tamci nie chcą go już dłużej za prezydenta. A więc zebrałem się jakoś i w drogę. Stara była bardzo rada z mojego pomysłu. Nie zdziwiłbym się wcale, mówi, gdyby mu to zrobiło dobrze. Tylko nie pytaj go o nic, mówi, i nie gadaj mu o wojnie, ani o polityce. Mów mu tylko o naszem miasteczku i opowiedz kilka z tych twoich głupich historyi.

Otóż miałem brata w Washingtonie; był urzędnikiem w którymś departamencie i bardzo był dumny ze swego urzędu. Idę więc prosto tam i mówię mu, że przyjechałem w odwiedziny do pana Lincolna. A ten mi na to: popsuło ci się we łbie, mój Williamie, czy co? Ludzie nie chodzą na wizyty do prezydenta Stanów Zjednoczonych bez zaproszenia, a zresztą on zanadto zajęty, aby przyjmować kogokolwiek z wyjątkiem najgrubszych figur urzędowych. Przecież, toć on nawet mnie nie przyjmuje. A to mię dopiero ubawiło takie gadanie. Izaaku, mówię, nic dziwnego, że pan Lincoln ciebie nie przyjmuje; ale ze mną będzie inaczej, ja i on starzy przyjaciele. Dobrze, mówi, ale musisz przynajmniej mieć ze sobą swoje karty. Karty, powiadam, jakie, po co? No karty, mówi, wizytowe, z twojem nazwi-

skiem. A to piękna historya, powiadam, koniec świata, czy co, żeby stary przyjaciel nie mógł odwiedzić pana Lincolna, nie posławszy mu przedtem kawałka tektury. Toż jabym się wstydził czegoś podobnego, Izaaku Brown. Czy przypuszczasz, że on mnie zapomniał, że muszę mu wprzód pokazać swoje nazwisko wydrukowane na papierze, aby się domyślił, co ja za jeden? Nie, nie wmówisz we mnie takiego głupstwa. Wyszedłem z biura i tegoż wieczora dostałem się do Domu Inwalidów za miastem, w którym pan Lincoln mieszkał, wtedy między chorymi żołnierzami, co leżeli dokoła w namiotach. Mnóstwo ludzi siedziało w pierwszym pokoju, czekając na niego, i ani jednego znajomego. Zaczynało mi już być trochę nijako, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł ten mały John Nicolay. On był z naszych stron, więc podchodzę do niego i mówię: Jak się masz, John, gdzie pan Lincoln? Otóż John nie wyglądał jakoś jakby rad był, że mnie widzi. Czy masz pan audencyę u pana Lincolna? Co to, to nie, mówię, nie mam i nie potrzeba. Być może to w porządku rzeczy i tak wypada dla tych, co przychodząc prosić o urząd, aby mieć audencyę, ale ja sądzę, że dla starych przyjaciół pana Lincolna nie potrzeba żadnych audencyi więc ruszaj, mój kochany, i powiedz mu krótko że Billy Brown jest tu i zobacz, co on powie na to. Otóż John poczerwieniał jak burak i za-

gryzł usta; ale znał mnie, więc poszedł zaraz. Za jakie dwie minuty otwierają się drzwi szeroko i wychodzi pan Lincoln, a twarz mu cała świeci z zadowolenia. Odrazu mnie spostrzegł i jak mię chwycił za ręce i zaczął trząść myślałem, że je urwie. Billy, toż to radość, że cię tu widzę. Chodź-że tu do mnie: zostaniesz na wieczerzy z Mary i ze mną.

A co, czy nie wiedziałem, że tak będzie? Myśleli, że jak został prezydentem, to się już zmienił w innego człowieka.... Ani odrobinę... Otóż miał on tam jeszcze całe mnóstwo wielkich ludzi do przyjmowania, ale jak się tylko z nimi załatwił, wyszliśmy sobie tylnemi drzwiami do ogrodu i usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać i rozmawiać. Rozpytywał się mnie prawie o każdego w Springfield. A ja to już rozpuściłem język i mówiłem o miejscach, o urodzinach, o pogrzebach, i o nowych domach i tak liczę, że nie było ani jednej plotki z tych trzech lat i pół, co go nie było w domu, którejbym mu nie powtórzył dokumentnie. Czy się śmiał? Trzeba było słyszeć, jak się śmiał, a mnie serce rosło, bo widziałem, co tam z niego zrobili. Zawsze był chudy; ale teraz mój Boże, był cienki jak patyk, a twarz była zapadła i całkiem szara — aż się na płacz zbierało człowiekowi. Otóż zjedliśmy wieczerzę, pogadaliśmy jeszcze trochę i około dziesiątej zacząłem się wybierać do miasta. Chciał mię zatrzymać na całą noc,

ale ja mówię sam do siebie: Billy, uważaj, abyś nie przeciągnął struny. Pocieszyłeś go, to i dobrze, a teraz wynoś się póki czas; niech wspomina o tobie, gdy mu się zrobi smutno. Więc mówię, nie, panie Lincoln, nie mogę, wracam jutro rano do Springfield.

Stara nie lubi, gdy mnie niema w domu, a mój chłopak nie da sobie sam rady z apteką.

— Billy — mówi — pocoś ty właściwie tu przyjechał?

— Przyjechałem, aby odwiedzić pana, panie Lincoln.

— Aleś jeszcze o nic mnie nie prosił, Billy. O cóż idzie, mów śmiało, odrazu.... Chcesz posady pocztmistrza? — mówi i śmieje się, bo wiedział, że nie potrzebuje tego.

— Nie, panie Lincoln — mówię — chciało mi się zobaczyć pana; zatęskniłem się trochę bez pana, tyle już czasu pana nie widziałem, a zresztą obawiałem się, że pozapominam wszystkie te plotki, jeżeli ich nie wyładuję póki czas.

Otóż, mój panie, trzeba była widzieć twarz jego, gdy spojrzał na mnie.

— Billy Brown — mówi, tak jakoś powoli — czy ty na seryo powiadasz mi, żeś odbył całą tę drogę ze Springfield, Illinois tylko i jedynie, aby odwiedzić mnie, że nie prosisz ani o urząd dla nikogo, ani o żadne ułaskawienie dla nikogo, że nie masz żadnych skarg po kieszeniach, ani żadnej rady dla mnie w rękawie?

— Tak, panie Lincoln — powiadam — przyjechałem wyłącznie tylko do pana, i niech mię zabiją, jeżelibym nie pojechał do Europy, aby odwiedzić pana, gdyby nie było można inaczej, panie Lincoln.

Otóż, mój panie, nigdy w życiu nie byłem tak zdziwiony. Porwał moją rękę i o mało że jej nie urwał, a łzy płynęły po twarzy, i mówi:

— Billy, nie zrozumiesz nigdy, jakie dobrodziejstwo mnie wyświadczyłeś. Ja tęsknię za domem, jestem chory z tęsknoty, a tu zdaje się, że ta wojna nigdy się nie skończy. Co nocy widzę, jak chłopcy mrą na polach bitew i słyszę płacz ich matek, i nie mama na to żadnej rady. Muszę słać ich tam, na południe, na śmierć. Musimy uratować rzeczpospolitą, Billy, musimy...

— Przecież musimy, panie Lincoln — mówię, jak mogłem najweselej — przecież musimy. Już się pan o to nie troszcz. To już sprawa skończona. Wybiorą pana na drugi termin i pan i stary Grant skończycie tę wojnę w okamgnieniu. Trzymaj się pan tylko ostro i nie zapomnij tych historyj, com panu naopowiadał.

I ruszyłem przed siebie. Lecz jakoś zdawało mi się, że on nie może się ze mną rozstać .

— Zaczekaj chwilkę, Billy — mówi — wezmę kapelusz i przejdę się kawałek z tobą.

Była to jedna z tych pachnących nocy letnich, z milionem gwiazd na niebie, i nie masz

pan wyobrażenia, jak przyjemnie było iść drogą. Białe namioty świeciły się rozrzucone między drzewami i co kilkadziesiąt kroków stał na straży wysoki, milczący żołnierz z karabinem. Było mi jakoś straszno i uroczyście. Zwolna wyszliśmy z pomiędzy drzew na odkryte miejsce, z którego widać było cały Waszyngton i Potomac i het, daleko, aż do Wirginii. Była tam ławka, więc usiedliśmy i po chwili pan Lincoln zaczął mówić.

Otóż, mój panie, ani pan, ani nikt nie słyszał nigdy nic podobnego. Niech zginę, jeżeli nie opowiedział mi wszystkiego — wszystkiego o wojnie i o generałach i o Sewardzie i o Sumnerze i o kongresie i o Greelim i o całej tej przeklętej bandzie. Otworzył przedemną całe swe serce. Zdawało się, że doszedł do takiego punktu, że się musiał wygadać. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy tam; musiało się zanosić już dobrze na ranek, bo gwiazdy zaczęły już blednąć, gdy on powstał z ławki.

— No, Billy, dobrej nocy, czas na mnie — mówi. — Jesteś pierwszym człowiekiem, przed którym się wyładowałem otwarcie i spodziewam się, że nie weźmiesz mnie za dziecko.

Uścisnęliśmy sobie raz jeszcze ręce i wróciłem do miasta, a nazajutrz odjechałem do domu.

Powtórzyć panu, co on mówił... Nie, nie potrafię. Jakoś nie umiem o tem mówić.

Naprawdę, nie powtórzyłem ani razu nikomu tego, co słyszałem tej nocy. Spróbowałem raz powtórzyć mojej starej, lecz się rozpłakałem i dałem spokój.

Tak, był to ostatni raz, że go widziałem, ostatni raz — żywego.

Niedługo potem wszystko zaczęło się poprawiać. Wojna zaczęła iść dobrze, i niedługo nie warto było i fatygi wspominać o kim innym nad prezydenta. To było jasne i właśnie zupełnie tak jak mówiłem; wybrano go powtórnie, i on wraz ze starym Grantem skończyli wojnę na poczekaniu. Powiadam panu, wielki to był dzień u nas, gdy przyszła wiadomość, że Lee się poddał. Każdy czuł, jak gdyby się na nowo narodził, że ta wojna już się skończyła. Jakoś nie mogłem myśleć o niczem innem, jak tylko o tem, jak się cieszy pan Lincoln. Ja i stara zaczęliśmy już rachować, że teraz to on już napewno przyjedzie i odwiedzi nas i odpocznie sobie, i zaczęliśmy sobie układać, jak go tu przyjmiemy — muzyka, parada, mowy, ognie bengalskie i wszystko, jak należy. Zdaje się teraz, że nie mogłem myśleć o niczem innem.

Idę rano z domu aby otworzyć sklep i przez cały czas układam sobie w głowie, jak udekoruję okna i jak przewiążę flagę narodową to stare krzesło, gdy wtem, widzę, idzie Hiram Jones prosto na mnie. Jakiś taki posta-

rzały, cały zgarbiony, aż się zdziwiłem, co mu jest.

— Hiramie — mówię — co ci jest? czyś chory?

— Billy — mówi, i jakoś nie może wykształcić — oni zabili pana Lincolna.

Otóż zrobiło mi się zimno od głowy do nóg, a potem znów gorąco.

— Hiramie Jones — powiadam—kłamiesz, zwaryowałeś. Jak śmiesz mówić mi takie rzeczy. To fałsz....

— Nie mów tak, Billy — powiada — nie bluźnij. Ja nie kłamię; to prawda. Jego już niema.

I w tej chwili padł na ziemię i ryknął takim płaczem tu, na ulicy, że już i ja wiedziałem, że to była prawda.

Idę do apteki i otwieram drzwi. Ludzie muszą mieć miętę i olejek i plastry; wszystko jedno, kto umarł; ale okiennic nie podniosłem. Siedziałem i myślałem i jęczałem, — myślałem i jęczałem.

Zdawało się tego dnia, że cały kraj wali się w przepaść, ale mnie nic to nie obchodziło. Ja mogłem tylko myśleć tylko o nim. Już on tu nie wróci. Nie będzie już nigdy siedział na tem krześle. Już go niema więcej na tym świecie.

Następne dni były wprost straszne. Czekanie i czekanie. Zdawało się, że ten pogrzeb

nie skończy się nigdy. Nie mogłem znieść myśli o tem, że go włóczą tak po całym kraju i urządzają z nim te wszystkie komedye. On nie lubił żadnych szopek. A jednak sądzę, że byłbym się wściekł, gdyby oni nie zrobili tego wszystkiego. A jednak było nam strasznie ciężko. Czułem ponoś, że teraz należał on już do nas, że powinni byli odnieść go teraz i oddać go nam, skoro go już zabili.

Przecież przyjechali z nim w końcu i powiadam panu, że było to wspaniałe; wszystkie grube ryby, senatorowie i kongresmani i oficerowie w paradnych mundurach i muzyki i flagi i krepa. Zapewne nie żałowali fatygi, aby go pochować. Tylko myśmy wcale ich o to nie prosili. Mybyśmy go pochowali sami, tylko, że oni nas nie dopuścili. Poszedłem tam raz, gdzie oni go postawili, aby lud go mógł widzieć. Sądzę, że nie będę panu o tem opowiadać. Nie mogłem nigdy wydostać tego sobie z głowy. Wolałbym milion razy nie widzieć, go tam leżącego, takiego czarnego i zmienionego, abym mógł zawsze, do końca życia, widzieć go takim, jakim go widziałem, gdy się żegnał ze mną tej nocy w Washingtonie na pagórku Domu Inwalidów.

Stara i ja nie poszliśmy z nimi na cmentarz; sił nam zabrakło. Zdawało się, że to nie wypada robić takiej parady, z nim w jego własnym domu. Lecz chodzimy tam często sami i

rozmawiamy o nim, i niech zginę, jeżeli mi się czasem nie wydaję, że on jest tu z nami, że lada chwila stanie we drzwiach i zawoła: Hello, Billy, są jakie nowe plotki?

Tak jest, znałem Abrahama Lincolna i znałem go dobrze — i powiadam panu, lepszego człowieka jeszcze nie było na świecie. Przynajmniej ja wcale sobie nie życzę spotkać lepszego. On był dość dobrym dla mnie, on był....Abraham Lincoln!